

„WYSTRZELAJCIE NAS, TYLKO NIE MORDUJCIE!”

Nazywam się Janeczko¹, kiedyś Wargacka Leokadia, zamieszkała w Smołowej w gminie Chotiaczów. Miałam wtedy trzynasty rok. Tata miał Jan na imię, mama z Palków. Moi rodzice mieszkali tam od pokoleń.

Dokładnie nie pamiętam, kiedy to było, ale w 1943 r., w lecie, przed samymi żniwami. Było tak, że nie wiedzieliśmy o tej rzezi, może rodzice wiedzieli, ale dzieciom nie mówili. Już się niektórzy ukrywali, wyjeżdżali do miasta. To było tak, dokładnie nie pamiętam, ale już mówili, że się banda jakaś tworzy w lesie i napadli na kościół w Chrynowie². To było w niedzielę. Nie pamiętam dokładnie, ale jak nas mordowali, to było w poniedziałek³.

My się bawiliśmy, to było wieczorem. I tak patrzę – pali się ktoś. I patrzyliśmy przez okno, wyszliśmy na dwór, a tu już blisko ogień, pali się wieś. Ale to była rzadka wieś, tak się ogień nie powinien [sam] przerzucać.

Tato mówi: „Idziemy z mamą ratować dobytek (maszyna, młynek) do stodoły”. I poszli do stodoły, a my, dzieci, zostaliśmy w domu. Tato chciał z mamą uciekać, ale mama się nie zgodziła. Powiedziała, że woli zginąć, niż zostawić dzieci same. Jak wyszli na podwórze, to tamci już byli. Tato ich znał. Zaczął ich prosić: „Darujcie życie, przecież my razem narabiali, gościli się, co ja wam zawinił?”. Nazwisk ich nie pamiętam. Oni powiedzieli, że „Dosyć wam, Lachom, coście się na naszej *zemli* nażyli, krwi naszej napili!”.

I my przyszli do mieszkania, poklękaliśmy przy stole, mama wzięła krzyżyk do ręki, a na drugiej ręce trzymała dziewięciomiesięcznego synka Edzia. Tato zaczął prosić: „Nie żałujcie na nas kul, wystrzelajcie nas, tylko nie mordujcie!”. I oni puścili serię, to mama upadła, ten krzyżyk tak trzymając w ręce, i poleciała na to dziecko – to nie wiem, czy było zabite, czy zaduszone. Wtedy zginęła mama, dwie młodsze siostry, sześciolatnia Halina i czteroletnia Krysia, i ten chłopczek. Ta sześciolatnia skoczyła na łóżko i przykryła się, a on ją zaczął czymś bić. Ja w tym czasie z tego strachu zemdlałam.

Ile leżałam, to nie wiem. Jak się ocknęłam, to pić mi się strasznie chciało, to pamiętam, że tę krew z podłogi ssałam. Oni nanieśli słomy i podpalili mieszkanie, okna już były powybijane. Podłoga zaczęła się tlić i zapadła się, ogień przygasł. Jak ja się przebudziłam, to pozalewałam ten ogień – woda była w domu.

Podeszłam do mamy. Mama była martwa, a tato mówi, żebym uciekała, bo on nie da rady, bo jest ciężko ranny. Ja przez okno uciekałam do sadu, pod taki krzak jaśminu. Tu się wszędzie pali wieś, ogień wszędzie, psy wyją. A starsza o dwa lata siostra Gienia była gdzieś na sadzie, jak ją zaatakowali. Ona w tym czasie, jak przyszli, wyrzucała jakieś ubrania, zapasy z komory i tu ją musieli dopaść.

¹ Relacja Leokadii Janeczko z Wargackich, byłej mieszkanki kolonii Smołowa w pow. włodzi-mierskim na Wołyniu, została spisana przez Ewę Kędrę-Załogę w 2009 r. (w zbiorach E. Siemaszko).

² Napad na ludzi zgromadzonych na niedzielnej Mszy św. w osadzie Chrynow w gm. Grzybowica, pow. włodzi-mierski, miał miejsce 11 VII 1943 r. Zginęło ok. 150 Polaków, w tym ks. Jan Kotwicki.

³ Napad na kolonię Smołowa był 12 VII 1943 r.

Ja już po napadzie schowałam się [potem] w zbożu. W nocy nad ranem przebudziłam się, bo zrobiło się zimno. Ja miałam przestrzeloną lewą rękę, kula przeszła na wylot i lewy bok mnie bolał. Usłyszałam jęki, a to mój tato wyszedł z domu, miał wydarte mięśnie ramienia. Chciało mu się bardzo pić. Nabrałam wody, dałam ojcu. Jak wracałam, spotkałam siostrę leżącą w sadzie. Prosiła, żeby jej dać coś pod głowę i coś do przykrycia. Przyniosłam jej poduszkę i jakiś koc. Jak przyszłam w dzień koło południa, to już nie żyła. Widać jej było wnętrzności i głowa była pobita. W tym czasie ta, co miała sześć lat, jeszcze żyła, ale głowa była cała sina. Ta czteroletnia już nie żyła.

W dzień [13 lipca] siedzieliśmy [z ojcem] w zbożu, ale była burza, na noc przyszliśmy do domu, spaliliśmy w kuchni, a w pokoju leżeli pobici.

Następny dzień [14 lipca] również spędziliśmy w zbożu, a na wieczór przyszedł szesnastoletni sąsiad Rutkowski, bo oni wszyscy wcześniej uciekli do Włodzimierza. On wrócił na swoje gospodarstwo, bo mieli zakopany kufer z odzieżą, ale już kufra nie było. Razem połapaliśmy konie, pomogłam mu zaprząć. Wsadziliśmy tatę na wóz i zaczęliśmy uciekać do Włodzimierza. To jest 12 km i przez ukraińskie wsie. Jak jechaliśmy przez las, to strzelali za nami, ale udało się przejechać.

Tam [za lasem] już byli Niemcy, i Polacy czegoś szukali, jakiejś żywności. Niemcy nas zatrzymali, ale zobaczyli, jak jesteśmy pobici, to nas puścili.

Na nas już czekali ciocia z mężem pochodzenia ukraińskiego, którzy mieszkali koło Włodzimierza na Białożowszczyźnie⁴. Tatę wzięli do szpitala, gdzie leczył się przez sześć miesięcy.

Za jakieś dwa miesiące pojechaliśmy [z wujkiem] z Niemcami, żeby zobaczyć to pogorzelsko. Okazało się, że bandyci drugi raz przyjechali, zaraz po naszym wyjeździe i drugi raz wszystko podpalili. Jak byśmy jeszcze trochę zostali, to z pewnością by nas też zabili. Siostra w sadzie leżała tam, gdzie umarła. Ktoś ją tylko lekko przykrył ziemią i darnią. Jak przyjechaliśmy, to pobieraliśmy z pogorzelska domu głowy, trochę kości i położyliśmy koło siostry. Wujek zbił taki krzyż z brzozy i tam postawił.

Od tamtej pory nigdy tam nie byłam, bo jakoś obawiam się, choć byłam we Włodzimierzu i innych miejscach na Ukrainie.

W lecie następnego roku [po tym] jak nas wybili, dostaliśmy z ojcem i wujkiem karty ewakuacyjne i przeszliśmy na tę stronę Bugu.

⁴ Białożowszczyzna – przedmieście Włodzimierza Wołyńskiego.